

tygodnia

POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 71 Poznań, 17 II 1963 Rok III

Zofia Mosiężna - Andrzejewska

MŁOTEM I PIÓREM

Wspomnienia z lat burzliwej wiosny (II)

Pierwsza część wspomnień poświęconych działalności ZWM w roku 1945 na terenie Wielkopolski, dotyczyła dni i tygodni, gdy na świecie trwała jeszcze wojna, a okryta chwałą krwi przelanej za wolność Europy — Czerwona Armia szturmowała wraz z Wojskiem Polskim Berlin. W tym czasie w naszym województwie kształtował się nowy porządek społeczny, w którym młodzież zajmowała bardzo poczesne miejsce. Dalsza część wspomnień, to pierwsze miesiące pracy w wolnym już kraju.

Lipiec postawił przed naszą organizacją nowe poważne zadanie. Sprzęt zboż. Najgorzej wyglądało w powiecie węgrowskim. Było tam wiele majątków poobszarnicznych. Większa część robotników rolnych została wywieziona w ostatnich miesiącach wojny do Niemiec i jeszcze nie wróciła. Powiat wzięła pod opiekę wielkopolska organizacja ZWM. W Grybowie, Redgoszcu, Stępczynie i wielu innych wsiach pracowało około 3000 młodzieży z Poznania, Gniezna, Krotoszyna, Wągrowca, ratując dziesiątki ton cennego ziarna. Na żniwa wyjechał cały aktyw Zarządu Wojewódzkiego ZWM, bez względu na hierarchię zajmowanych funkcji. Przewodniczącym Grupy Kierowniczej był Tadek Sikora, zajmujący się na co dzień w Zarządzie organizacją oświaty. Tadek potrafił umiejętnie rozdzielać obowiązki. Nie wymigał się nawet „intelektualista” — Jurek Zegalski, dziś zdolny reżyser, dyrektor Teatru w Białymstoku.

Powierzono mi na żniwach tzw. akcję kulturalną, polegającą na organizowaniu po pracy gawęd przy zapalonych ogniskach. Przewodowałam pieszko powiat węgrowski wszędzie i wsząd. Własne nogi były wtedy bowiem najbardziej popularnym środkiem pochlaniańa przestępców w tzw. terenie. Przy ogniskach opowiadałam strudzonej pracą młodzieży historię ZWM-u, uczyłam partyzanckich pieśni, recytowałam wiersze. Do późna w nocy płynęły nierzadkie piosenki, tryskały iskry ognia i serc młodych, przepełnionych miłością do kraju.

Na ogniska przychodzili też chętnie mieszkańcy okolicznych wsi, szczególnie kobiety z dziećmi. Nie mogły się wydrzeć, że młodzież z miast tak szybko się wdrożyła do wiejskiej roboty. Serdeczność okazywana nam przez ludność na każdym kroku cieszyła, napawając poczuciem wartości i przydatności.

Jesień pierwszego roku wolności zastała mnie przy organizowaniu Wojewódzkiej Szkoły Związku Walki Młodych. Że nie było lokali i pieniędzy na wyżywienie słuchaczy — to fraszka. Z zasady mieczliśmy wtedy siły na zamiary. Przy pomocy Komitetu Wojewódzkiego PPR, który zapewnił bezpłatnych wykładowców, dzięki wysiłkowi kilku kolegów pracujących przy adaptacji strychu w Zarządzie Wojewódzkim na Szkołę, ofiarności kocińskich kół wiejskich, dostarczających kaszy, grochu i kartofli do anemicznej wówczas stolówki — no przy olbrzymim zapale słuchaczy — wszystko poszło jak z płatka. W

styczniu 1946 roku opuszczali Szkołę pierwsi absolwenci.

Wiosna 1946 roku zaznaczyła się pewnym odpięciem młodzieży z szeregow organizacji. Był to proces naturalny. Część drobniomieszczańskich młodzieży i część młodzieży wiejskiej, która na fali ogólnego entuzjazmu znalazła się w naszym Związku, a nie potrafiła przyjąć naszego programu — odeszła. Silny już był wtedy zresztą Związek Młodzieży Wiejskiej — „Wici” — opanowany przez PSL, działało Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Obydwie te organizacje miały wodę jak i gdzie się dało. Wtedy to młodzież wszystkich demokratycznych organizacji zaczęła się dogadywać. Łącząc we wspólnych akcjach. Byłam wówczas kierownikiem Wydziału Propagandy Zarządu Wojewódzkiego (Szkołę Wojewódzka prowadził z kolei wypróbowany aktywista naszego Zarządu — robotniczy łódźnik Edward Kowalski) i wchodziłam w skład Wojewódzkiej Komisji Porozumiewawczej — Miedziorozmowy. OMTUR-owcy, ZMD-owcy i lewicowi działacze „Wici” wystąpili razem z nami po raz pierwszy w Międzynarodowym Tygodniu Młodzieży — w marcu 1946 roku. Odtąd wszystkie większe akcje polityczne, oświatowe czy kulturalne przeprowadzaliśmy razem. Razem wystąpiliśmy 1 Maja 1946 roku w pochodzie 1-majowym i razem przygotowaliśmy się do Referendum. Była to nasza pierwsza wielka robota polityczna, wcale niełatwa w ówczes-

Dokończenie na str. 3

Zbigniew Szumowski

Wspólny mianownik zmian

Weinstube „ABC” odgrywa w Berlinie tę samą rolę, co w Poznaniu „Słowińska”. I choć jest znacznie większa, równie trudno w niej, zwłaszcza sobotnim wieczorem, o wolny stolik. Na szczęście okazały wykiadało spostrzegły nasze wahanie, udzieliła usługowej informacji: przy beczce, obok orkiestry, są jeszcze trzy wolne miejsca.

Rzeczywiście są. Rzeczywiście przy beczce, a właściwie przy obrzynku ogromniastej beki, obstawionej pół tuzinem antafków. Co ważniejsze zaś, młodzi ludzie niepodzielnie dotąd kapłaniący na ówym ołtarzu Bachusa, okazują się nader gościnni. Nie mija nawet pięć minut, a jeden z nich nalewa w nasze, ustawione uprzednio kielichy swego „Furmintu”. Jestem nieco zasko-

Ppłk pil. Andrzej Dobrzeński

Dobrze i „dobrze”

Nie jest niczym niezwykłym ta książka lotów. Każdy z mych rówieśników-pilotów ma taką samą. Czasami, kiedy sięgam po nią, myślę jednak, że na podstawie zawartych w niej odręcznych notatek — opatrzonych podpisami i pieczęciami — można by odtworzyć kawał historii polskiego lotnictwa. Ale ja nie jestem historykiem i na mój prywatny użytek książka ukazuje mi twarz ludzi o ileś lat młodszych — generałów, gdy podpis swój uzupełniali dopiskiem „porucznik pilot”, pułkowników — gdy byli porucznikami. Porucznik pilot Krepski, major obserwator Jagiełło.

Książka ma także swój „rozdział błędów gramatycznych” i on wydaje mi się szczególnie bliski.

„16 lutego 1950. Sprawdzono technikę pilotażu na samolocie „Jak 9”, wysokość 3000 m. Lot egzaminacyjny. (Dopisek „z przedniej kabiny”) Oceny: dobrze i dobrze. Podpis: Bystrow, ppłk pil.

Owe „dobrze”, tak właśnie pisane, powtarza się często, słowo wybitnie trudne dla pułkownika gwardii Babiejewa i podpułkownika gwardii Inokientiewa, podpisujących wyniki egzaminów ze znajomości samolotu „Jak-17”. To samo — pułkownik gwardii Siemionow, podpisujący mi lot po trasie prostokątnej na samolocie „Jak-17”, to samo starszy lejtnant gwardii Aleksandrow, który pod datą 30. III. 51 r. zezwala mi na wykonywanie na tym samolocie lotów samodzielnych.

Cóż, łatwiej było tym ludziom, miesząc słowa polskie z rosyjskimi, wytłumaczyć zasady pilotażu jednomiejscowego „Jaka-23” (nie posiadającego w ogóle wersji dwuseterowej) i wysiać w powietrze, niż w obcym dla nich języku poprawnie napisać słowo „dobrze”. Nie oczekiwaliśmy od nich zresztą lekcji ortografii.

Wesoła to byłaby historia, gdyby major gwardii Sapiega uczył nas ortografii. Pozabijalibyśmy się jak nie na obcych dla nas samolotach. Ale nie w tym celu przybył na nasze lotnisko ten Bohater Związku Radzieckiego. Jego sprawą było nauczyć nas latać na samolotach odrzutowych.

Mnie nauczył. Polecałem sam z duszą na ramieniu — stwierdziłem niesłychaną prędkość — 800 kilometrów na godzinę i dwa razy zachodziłem do lądowania. Ale usiadłem, czego najlepszym dowodem fakt, iż czytam swą książkę lotów.

Pod datą 17 marca 1952 odnajduję pierwsze „dobrze”, napisane ręką ówczesnego mego dowódcy — majora Piepielina.

Głośno to postać. Bało się go wojsko jak ognia. Język miał niewyparzony, jak rzadko. Ale poznałem się na nim szybko. Właśnie jeden z pilotów zenił się. Nic nie mówiąc Piepielinowi — pojechał do ślubu tramwajem. Co było po powrocie? Nikt chyba nigdy nie otrzymał tak miśternie związanej, tak bajecznie kolorowej ślubnej wizanki! „Piepielin u ciebie jest? Jest. Skoda u Piepielina jest? Jest. A ty, oficer polski tramwajem do ślubu, żeby cię...”

Miałem wtedy na swym biurku w sztabie pięknie wyszlifowaną szklankę szybę. I już nie było szybę. Rozprysła się pod pięścią Piepielina. A cóż ja byłem winien? Przecież nie mój ślub, nie mój tramwaj, nie dla mnie wiązanka. Więc wzięłem potrząskane odłamki szklanki i zaniósłem Piepielinowi do gabinetu. Na swoim biurku miał taką samą. Cóż prostszego, niż wymienić. Stało się.

I dopiero teraz zrozumiiałem, com uczynił. Ale było za późno. Piepielin wszedł do swego gabinetu. „A ty, ot, taaaki” — powiedział. „Nu, ty prawdziwy lotnik, ty się nawet Piepielina nie boisz”.

I zostaliśmy przyjaciółmi z Piepielinem. Lecz nie żyliśmy ślubami. Dzień powszedni wyglądał inaczej. Oto pod datą 26 marca 1953 roku mam zanotowanych w dzień 22 loty na samolocie „Jak-11” i 3 na samolocie „Mig-15”, w nocy zaś pod tą samą datą — 22 loty. Następnego dnia 26 lotów w dzień i 25 lotów nocnych.

Tak się latało u Piepielina. „Zezwalam na loty instruktorskie w nocy, w świetle reflektorów”.

To podpisał Markow. Markow — lotnik i żongler. Dwie sztuki opanowane miał mistrzowsko: latanie i palenia. Wychodząc z kabiny — pierwsze słowa do pilota: „Papieroska jest? Dawaj zakurim”. I wyczytniał cuda z „papieroska”, szczegółowo omawiał lot, nie wyjmując go z ust. Papieros w jego ustach był ruchome i wcale nie przeszkadzały mówić, a mówić lubił dużo.

wódki moglibyśmy się napić w berlińskiej restauracji.

Kiedy w maju ubiegłego roku dowiedział się, że ma jechać jako jeden z dziesięciu wytypowanych przez organizację na obóz w Polsce, bał się, że będzie traktowany tylko jako Niemiec. Czy nie jest Niemcem? „Oczywiście — wyjaśnia. Lecz właśnie dlatego byłem przeświadczony, iż mimo wszystkich nadal żywcem do nas wszystkich urazę za doznane krzywdy. Są zresztą u nas lacy, którzy wrócili z Polski nie-ko rozgoryczeni. Może są przewrażli-

Berlińskie refleksje

dni u swego kolegi w Poznaniu i ten podejmował go zarówno węgierskim winem w „Słowińskiej”, jak polską wódką w „Adrii”. Próbuje ironii pytam, czy może to właśnie najbardziej podobalo mu się w Polsce. Na szczęście nie traktuje mych słów jako kamienia obra-zy. Odcina się jedynie: to samo wino pijemy właśnie w Berlinie, polskiej

wieni. W każdym razie miałem chyba powód, by się dziwić, że polscy współtowarzysze wczasów uważają mnie po prostu za zwykłego obcokrajowca i nawet wówczas, kiedy rozmowa dotyczyła tamtych spraw nie mówią WYŚCIECIE ONI to zrobili. Czy pan wie czym jest takie stawianie sprawy dla nas, młodych, którzy nieraz mówią sobie: aleś-



Z teki Kazimierza Przychodzkiego

Markow ubóstwiał rosół. Pamiętam tę piekielną awanturę w kasynie, gdy kelnerka, niosąc rosół, wsadziła palec do talerza. „Ślusznie — myśleliśmy — niech się nauczy baba kultury”, ale ze zdumieniem stwierdziliśmy, że Markowowi chodziło o coś zupełnie innego. „Cóż to za rosół, że można do niego wsadzić palec i nic? Nawet się nie sparzyła! Niech sama je taki rosół”.

Faktem jest, że Markow pięknie pisał po polsku, każde „dobrze” przez „rz”.

Zezwolenie na loty w dzień w trudnych warunkach podpisał mi Łogwinow — podpułkownik, nawigator pułku. Cóż to za twarz kapitalna, cóż to za wspaniała postać. Człowiek, który ma wszystko zbyt duże. Dwa metry wzrostu, a nos! A wąsy! Narzysowaliśmy kiedyś na tablicy w sali metodycznej kabinę samolotu widzianą z przodu. Sterczały z niej po bokach dwa wiechcie. Pech. Łogwinow przyszedł na wykład. „Eto ja?” — spytał. „Cóż to za wąski wy mi namalowali — jakieś angielskie. U

mnie ot, widzicie wąs ruski, tak go trzeba namalować”. Wziął kredę i wiechcie przedłużył do obu krańców tablicy.

Jak Łogwinow był ogromny, tak Pietakow — generał był maleńki, figurka chińska. Pietakow miał „Pobiedę” i adiutanta lubiącego gorzałkę.

Przyjechała właśnie do nas grupa techników radzieckich. Uroczę chłopaki. Składali do kupy przysłane nam w kawałkach prawdziwe samoloty. Odrzućto. Uwinęli się z tym nad podziw szybko, więc Pietakow postanowił zrobić im przyjemność. Dał swą „Pobiedę”, przydzielił swego adiutanta, aby pokazał im naszą Stolicę, z surowym przykazaniem, by poszli do Opery. Nie wziął generał jednak pod uwagę, że adiutant nie wie — gdzie Opera, wie natomiast doskonale, gdzie jaki warszawski bar. Więc wracali późnym wieczorem z anarchistyczną pieśnią na ustach „luba, bratcy, luba”. Ileż żalu było w generalskiej reprimendzie dla adiutanta. „Ja tobie kazał im kulturę pokazać, a ty ich do anarchii sposobisz”.

Nazarkin, Szyszkin, Ziekiejew... Wyciąg z rozkazu Dowództwa Wojsk Lotniczych nadający mi tytuł pilota myśliwskiego podpisał Szeł Sztabu WL — generał brygady Kadazanowicz.

Mam podpisy tych ludzi w swoim dzienniku lotów, lotniczym sztabuchu i przewracając jego kartki — przypominając mi się pierwsi nauczyciele zawodu, ludzie — którzy wsadzili mnie do kabiny samolotu bojowego. I nie wiem, co bardziej w nich podziwiać: umiowanie lotnictwa, sposób traktowania obywatela, czy odruchy serca, które ciągle ukazują się, gdy przewracam jego kartki.

my mieli pecha, rodząc się właśnie Niemcami. Bo cóż my jesteśmy winni, że nasi ojcowie poszli razem z Hitlerem?... Właśnie dlatego, że nie chcemy mieć nic wspólnego z tamą przeszłością, że chcemy się od niej raz na zawsze odciąć — nie chcemy, by nas, wbrew naszej woli, wrzucano do jednego worka. Chyba nikomu tak bardzo jak właśnie nam, młodym Niemcom, nie zależy na uznaniu przez innych linii podziału. Nic też bardziej nie pozwala nam wierzyć, że walka przeciwko starememu ma sens, że można być jednak Niemcem, nie będąc wrogiem wszystkich innych...”

Studentka germanistyki Uniwersytetu im. Humboldta, poznana w sklepie naszego „Domu polskiej kultury” pyta się, jak daleko z Poznania do Brodnicy i czy mogłaby tam kiedyś pojechać. Czy pochodzi stamtąd? Nie, z Dessau. Ale w Brodnicy leży pochowany jej ojciec. Zmarł w tamtejszym szpitalu wojskowym, gdy miała niespełna rok. „Ja wiem, że u was działa się straszna

Dokończenie na str. 3

Michał Łuczak

Droga „ludzi stamtąd“

„Czułem się jak dziecko zagubione w tłumie”; „odnosiłem wrażenie, że jestem w innym świecie”; „oszołomienie i bezradność — oto dominujące uczucia”. Tak mówią o pierwszych dniach odzyskanej wolności ci, którym przyszło spędzić kilka lat w więzieniu.

Łatwo zrozumieć, że po dłuższej izolacji odzyskanie wolności stanowi poważny wstrząs, powodujący czasami życiową niezaradność. W tym okresie eks-więźni jest szczególnie podatny na wszelkie wpływy. Stąd też niezmiernie ważne jest jak najszybsze poddanie go opiece kuratora sądowego. Niestety, nie zawsze tak się w praktyce dzieje.

Jeśli więzień opuszcza zakład karny w Wielkopolsce i w tym województwie zamieszkuje, mianowanie kuratora i podjęcie przezeń obowiązków opiekuńczych jest kwestią kilku dni. Inaczej ma się sprawa, jeśli na przykład Iksińska opuszcza więzienie w Bojanowie (pow. Rawicz) i

Po wyjściu z więzienia...

wraca do miejscowości znajdującej się poza województwem poznańskim. Wówczas kuratora dla Iksińskiej mianuje Sąd Wojewódzki w rejonie zamieszkania eks-więźnia dopiero po czterech lub sześciu tygodniach. Nie ma chyba potrzeby bliżej uzasadniać, że tak długie pozostawienie byłego więźnia samemu sobie jest ze wszelkich miar niepożądane. Rozwiązanie tego problemu — polegające głównie na usprawnieniu pracy sądów — wydaje się być nader istotne dla efektywnego działania opieki postpenitencjarnej.

Ta sprawa wiąże się z liczbą kuratorów. W naszym województwie jest ich około 100, w tym 74 stałych. Ci ostatni miewają nawet do 10 podopiecznych, co utrudnia wnikliwe interesowanie się losami wychowanków. Mimo to wyniki pracy kuratorów są dobre, jeśli wierzyć danym statystycznym. Wynika z nich, że w ub. roku zwolniono warunkowo z więzienia ponad 900 osób, a tylko w 19 przypadkach zwolnienie trzeba było odwołać (np. w razie popełnienia nowego przestępstwa, niepodjęcia pracy itp.). Mała liczba odwołań mogła wpływać także z nie najbardziej ścisłego dozoru sprawowanego przez przeciętnych obywateli kuratorów.

Mamy warunki po temu, by zwiększyć kadre kuratorów. Podstawą prawną jest rozporządzenie Ministra Sprawiedliwości z 7 lipca 1961 roku „w sprawie nadzoru nad osobami warunkowo zwolnionymi oraz udzielania poręczeń za te osoby”. Według tego aktu prawnego zakłady pracy mogą sprawować kuratelę nad byłymi więźniami, co — jak wykazała praktyka — przynosi nadszperkujące dobre rezultaty. Zakład udziela poręki za warunkowo zwolnionego i daje mu zatrudnienie. Jeden z pracowników tegoż zakładu zostaje jednocześnie mianowany kuratorem i opiekuje się b. więźniem.

Niestety, instytucja kurateli zakładu pracy nad warunkowo zwolnionymi nie jest popularna. W 1961 roku mieliśmy w Wielkopolsce 4 takie placówki, obecnie jest ich 10; w samym Poznaniu trzy przedsiębiorstwa sprawują kuratelę nad... trzema byłymi więźniami. Kiedy już zakład zdecyduje się sprawować kuratelę, to najczęściej tylko nad swoim byłym pracownikiem i to takim, który z racji swych nieprzeciętnych kwalifikacji jest po prostu bardzo potrzebny.

Wydać się, że jeśli zakładowe organizacje partyjne, związkowe i młodzieżowe nieco zainteresują się tą sprawą, sytuacja może ulec radykalnej zmianie.

To, o czym dotychczas mówiliśmy, dotyczy wyłącznie ludzi zwolnionych warunkowo. Ci, którzy odbywają karę w więzieniu, po wyjściu na wolność są pozostawieni samemu sobie. Czy to słuszne?

Oczywiście, trudno wyznaczać kuratorów dla wszystkich byłych więźniów. Jest to niemożliwe. Jednakże wydaje się, że nie można całkowicie

Pod mianem przyrodniczego (naturalnego) środowiska geograficznego należy rozumieć tzw. środowisko fizyczno-geograficzne, które pomimo zmian wywołanych przez człowieka zachowało charakterystyczny układ poszczególnych swych składników, rozpatrywanych kompleksowo.

Ta zdolność różnych typów środowiska fizyczno-geograficznego do reagowania na zmiany środowiska w szczególności, właściwy sobie sposób, daje podstawę do wydzielenia w terenie pewnych typów tego środowiska, uwarunkowanych zasadniczymi cechami jego struktury, takimi np. jak forma powierzchni czy budowa geologiczna. Wiadomo bowiem iż np. poziom wody gruntowej (i ruch wody w gruncie), w połączeniu z budową geologiczną i klimatem warunkuje typ np. formacji roślinnej. Zmiana jednego z tych składników środowiska fizyczno-geograficznego powoduje odpowiednie zmiany pozostałych składników. Wszystkie one są ze sobą powiązane w sposób organiczny. Te współzależności różnorodnych składników środowiska fizyczno-geograficznego nazwał A. Wodiczko (1948) fizjocenozą.

Wstępem do tych badań jest próba wyznaczenia typów przyrodniczego (naturalnego) środowiska geograficznego, przeprowadzona przez autora na powierzchni ca. 8000 km², obejmującej część Niziny Wielkopolskiej. W studium, o którym mowa, autor dokonał podziału wycinka Niziny Wielkopolskiej w okolicy Poznania, obejmującego tzw. strefę podmiejską Poznania, na typy przyrodniczego środowiska geograficznego w oparciu o metodę tzw. bonitacji terenu. Zasadą tej metody jest założenie, że środowisko geograficzne winno być rozpatrywane z punktu widzenia jego wartości dla człowieka, czyli jego „bonitacji”. W tym celu dokonano oceny następujących warunków bytowania człowieka: budowlanych, zdrowotnych i lokalnej bazy żywnościowej. Okazało się wtedy, iż np. warunki zdrowotne (dostępność wody pitnej oraz jej jakość, klimat lokalny) zależne są od stopnia rozcięcia pierwotnej powierzchni terenu (wysoczyń, morenowej), od jego morfologii. W ten sam sposób analizowane są wszystkie składniki środowiska fizyczno-geograficznego. Ta analiza i ocena wartości środowiska dla człowieka oraz podział terenu na rejon „bonitacyjne”, będące równocześnie rejonami fizyczno-geograficznymi, stanowi przykład praktycznego stosowania geografii, czyli tzw. geografii stosowanej.

W oparciu o powyższe metody wydzielono na obszarze omawianym cztery główne typy form terenu: — o nieznacznym rozcięciu lub zupełnie nierozcięciu (w których nie została rozcięta glina morenowa górna), — o małym, znacznym i maksymalnym rozcięciu. Zależnie od stopnia rozcięcia terenu i związanego z tym typu reżimu wód gruntowych dokonano oceny warunków bytowania człowieka.

Wyróżnione typy środowiska geograficznego, jakkolwiek uwzględniają efekty działalności człowieka (np. łąki, to formacja roślinna powstała na skutek selektywnej roli sianokosów, pola uprawne to tak zwany step uprawny itd.) nie dają pojęcia o stopniu, w jakim owa działalność

Feliks Biłos

Śladami Mickiewicza

„Mój Jeżu, gdybyś był teraz w Kownie! Wilia ogromnie załżała bionie, okopy stoją w środku na kształt wysep... Gdybyś styszał klarynet, skrzypce i śpiewy niemieckich flisów pijących na pokładzie pivo...”

(z listu A. Mickiewicza do Jeżowskiego).

Nie mogło być lepszego pomysłu niż ten, żeby pobyć w Kownie rozpocząć od złożenia wizyty Janinie Narkiewicz, zastępcy przewodniczącego Rady Miejskiej. Wita ona przybysza z Polski z całą serdecznością. Urodzona pod Warszawą, gdzie spędziła pierwsze lata życia, nie zapomniła jeszcze języka polskiego. Ze słów jej przebiega sentyment do kraju dzieciństwa. Wielka miłośniczka Mickiewicza potrafi recytować z pamięci obszerne fragmenty dzieł poety. Mówią o niej, że kiedy jako parzyantka została ciężko ranna, recytowała w mialnie strofy „Grażyny”.

Nie trudno więc było o wspólny język. Niestety, przed drzwiami gabinetu przewodniczącej czekały interesanci. Miła gospodyni przeprosza, że nie może towarzyszyć przy zwiedzaniu miasta i przekazuje nas pod opiekę Jonasza

pozwalać na łasce losu przede wszystkim recydywistów i osób, które odbyły długoletnią karę więzienia za przestępstwa o wysokim stopniu szkodliwości społecznej.

Nielatwo w tej sprawie formułować ścisłe sprecyzowane wnioski. Tym bardziej że wśród samych pracowników opinii są podzielone. Panuje również taki pogląd, że recydywistów są tak niedyscyplinowani, iż kurator jest najczęściej bezradny, wobec czego należałoby pomyśleć o specjalnych zakładach. W każdym razie problem jak najbardziej na-

Bielskisa, dyrektora miejscowego Biura Turystycznego.

Wędrując po ulicach i zaułkach starego Kowna, trudno nie sięgnąć także pamięcią do znanych z lektury szkolnej epizodów życia naszego narodowego Wieszcz. Dzisiejsza ulica Mickiewicza biegnie terenem dawnego przedmieścia, zwanego za czasów poety Karłowiczki. Wśród wiekowych domków starej części miasta, w ciasnej, wąskiej ulicz-

ce mieści się dawne kolegium jezuickie. Tu w latach 1819—1823 mieszkał Mickiewicz „na stancji”, podobnie jak inni profesorowie kowieńskiego gimnazjum. Od 1955 roku w domu tym mieści się szkoła średnia, nazwana imieniem poety.

Dyrektor szkoły Vincas Pakalnis przyjmuje nas z dużą serdecznością. Już od pierwszego wejścia można się zorientować, że mamy tu do czynienia z wyrazem wielkiego kultu dla Mickiewicza. Wszędzie pełno obrazów, rzeźb i innych pamiątek mickiewiczowskich. W pokoju, w którym mieszkał niegdyś poeta (dziś mieści się tu gabinet fizycz-

daje się na warsztat Sejmowej Komisji Sprawiedliwości.

Omówmy jeszcze sprawę zatrudniania eks-więźni. Szybkie podjęcie pracy ma szczególne istotne — rzec można — decydujące znaczenie w procesie reedukacji. Wprawdzie obecnie uzyskanie przez byłego więźnia posady nie następuje takich kłopotów jak kiedyś, ale przecież i teraz nie brak negatywnych przykładów (np. niedawno jeden z wiceprezów Sądu Wojewódzkiego musiał interweniować w Jarocinie w

Doc. dr Tadeusz Bartkowski

Lekcja geografii stosowanej

Nauka wobec uprzemysłowienia Wielkopolski

ność ludzka może je przeobrażać. Nie można zmieniać bezkarnie maksymalnie niektórych składników środowiska fizyczno-geograficznego, gdyż nadmierne ich przeobrażenie może odbić się niekorzystnie również na pozostałych ich składnikach.

Szkodliwe skutki zmian niektórych składników środowiska fizyczno-geograficznego są już dość powszechnie znane, dlatego należy się ograniczyć do zaznaczenia tu momentów szczególnie ważnych. Oto szczególnie dotkliwie zaznaczają się w środowisku fizyczno-

W cyklu Nauka wobec uprzemysłowienia Wielkopolski publikujemy dzisiaj wyjątki z pracy docenta dr. Tadeusza Bartkowskiego (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza). Autor opracowania przedstawił swoje poglądy na poruszony tutaj temat podczas gruntniejszej sesji, zorganizowanej przez Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej.

geograficznym wszelkie zmiany warunków zdrowotnych bytowania człowieka. Tak więc zatrucie ściekami fabrycznymi wody w rzece daje się zauważyć daleko w dół biegu rzeki i to nie tylko w samej rzece ale i w wodach gruntowych w dolinie rzeki, które stanowią z reguły najobfitsze źródła zaopatrzenia w wodę pitną.

Usytuowanie zakładów przemysłowych, zatruwających atmosferę szkodliwymi wylęciami na skraju doliny po stronie dowietrznej (w stosunku do panujących wiatrów) powoduje stałe wypełnianie doliny tymi wylęciami i długotrwałe utrzymywanie się ich w dolinie (baseny „zastoiskowe” powietrza). Zatrucie atmosfery wylęciami fabrycznymi może się także odbić na lokalnej bazie żywnościowej np. na glebach (spływanie z opadami związków chemicznych w glebę), co szczególnie dotkliwie szkodzi wywołuje na obszarze cennych gleb wysokiej bonitacji. Wycięcie lasów na obszarach wdmowych prowadzi niezawodnie do uruchomienia lotnych pyłków, nieopatrzne osuszenie bagien do pogorszenia jakości łąk, podwyższenie poziomu wody gruntowej (np. przez jaz na rzece) może zaszkodzić fundamentom budynków.

ny), urządzono małe muzeum szkolne. Jest tam oryginalna lista filomaty Franciszka Malewskiego do Mickiewicza, są reprodukcje ilustracji do dzieł poety — dar Muzeum im. Mickiewicza w Warszawie, wreszcie fotografie miejsc mickiewiczowskich. W gablocie wisi sztandar szkolny z wizerunkiem Adama.

Dyrektor Pakalnis opowiada o przyjętej w szkole tradycji. Kiedy maturzyści otrzymują świadectwa dojrzałości, odbywa się tu coś w rodzaju ich zaślubin ze szkołą. Każdy absolwent odbierając z rąk dyrektora dyplom, składa na stole różę, jako symbol swej wierności dla ideałów, które wpały na niego w latach szkolnych. Gdy ostatni absolwent złoży swą różę, utworzony w ten sposób bukiet zostaje uroczystie złożony w specjalnym wazonie przed portretem poety.

Z korespondencji Mickiewicza do przyjaciół wiemy, że okres kowieński nie należał do najprzebiegszych w jego życiu. Szare, jednostajne dni umi-

Korespondencja własna z Kowna

był sobie pisanie ballad oraz niewinnym flirtem z panią doktorową Kowalską. Gdy mu było smutno i ciężko na duszy spoglądał — jak sam pisał — w znajome okno, gdzie — oddzielony jedynie wąskim przejściem — stał, zachowany do dziś, domek doktora Kowalskiego. Uroczą jego małżonkę była przedmiotem czułych westchnień poety i przedmiotem wielkiej miłości do Maryli.

Żegnając się z nami miły gospodarz oświadczył, iż młodzież jego szkoły byłaby szczęśliwa, gdyby mogła hawiać korespondencję z jakąś polską szkołą im. Adama Mickiewicza. Zachę-

sprawie przyjęcia eks-więźniarki do pracy.

Rozumiemy bardzo dobrze, że przyjmowanie „ludzi stamtąd” nie może odbywać się bezkrytycznie; kasjera, karanego za defraudację, nie należy zatrudniać w kasie. Można mu jednak powierzyć taką funkcję, przy pełnieniu której możliwości popełnienia nadużyć są znikome.

Omówiliśmy kilka problemów opieki postpenitencjarnej; jest ich wiele. Można by pisać o takich zagadnieniach, jak organizowanie kursów szkoleniowych, zwalczanie

cam, bo od młodzieży kowieńskiej naprawdę wiele można się nauczyć!

W Muzeum Sztuki im. Czurlionisa, wśród wielu eksponatów oglądałem jedyną w swoim rodzaju dzieło plastyczne, wykonane z elementów rosochatych gałęzi, korzeni i kory drzewnej. Kompozycja przedstawia sceny męczeństwa i kaźni z okresu Powstania Słyczińskiego. Utrzymane w stylu skrajnie ekspresjonistycznym — symboliczne obrazy walki, egzekucji, zesłania wywierają silne wrażenie. Jest to dzieło ludowej artystki litewskiej Daugielieny (1863—1959), której ojciec — uczestnik Powstania Słyczińskiego, zginął w walce z wojskami carskimi.

Dyr. Bielskis prowadzi nas z kolei do Muzeum im. Petrasa Cwirki, znanego pisarza i działacza politycznego, zmarłego w pełni sił twórczych w roku 1947. Jego dzieła („Frank Kruk”, „Ziemia karmielka”, „Pierwsze święcenia”, „Korzenie dębu”) zalicza się do czołowej literatury litewskiej, zaś pamięć ich autora odczuwana jest ogólnonarodową czcią.

Pora kończyć zwiedzanie, bo oło zjawia się przewodnicząca Narkiewiczówna w towarzystwie starszego, wysokiego mężczyzny, o białych włosach. Okazuje się, że jest to Adolfas Urbasas, generał rezerwy, kierownik Komisji Kultury Rady Miejskiej Kowna. W tym dostojnym towarzystwie, przy kieliszku wybornej „Palangi”, spędziłem miły wieczór. Generał Urbasas okazał się przemiłym człowiekiem. Prosił, by mówić z nim po polsku i sam starał się posługiwać naszym językiem.

Opuszczałem Kowno z miłym uczuciem zadowolenia wywołanego swiadomością, że okazujemy mi gościnność była wyrazem sympatii i przyjaźni Litwinów dla naszego kraju.

alkoholizmu, przejściowe zakwawowanie, otaczanie opieką lekarską chorych eks-więźniów, koordynacja działalności wszystkich instytucji (sądy, Polski Komitet Pomocy Społecznej, prezydium rad narodowych) powołanych do spieszenia z pomocą „ludziom stamtąd”. Wszystko to wywiera wpływ na przebieg procesu resocjalizacji. Jest on również bardzo zależny od stosunków społeczeństwa do tych spraw. Piętnujemy nadużycia i przestępstwa — ale zarazem pomagamy w rehabilitacji tych, którzy zbłądzili.

Bogusław Kogut

O potrzebie moralistyki

Szlacheckie warcholstwo i pienactwo zgubiło ponoć I Rzeczpospolitą. Szlachta zginęła z tzw. areny dziejów, coś niecoś po niej pozostało — np. skłonności pieniackie.

Niedawno wpadł mi w ręce autentyczny pozew o... drewnianą łaskę do podpierania. Myślę sobie: może wartościowy antyk, dzieło sztuki snycerskiej pod postacią łaski. Sprawdziłem. Trzeci-nowa łaska, kawał starego drewna, nic. Rzeczywiście, jest o co wtoczyć się po sądach.

Zadłem sobie kilka pytań: Czy adwokat redagujący pozew nie powinien odwieść zacierzawionego i rozpieniaczonego powoda od procesu o łaskę? Mogłoby. Ale... Wędróżka pytanie: Co uczyniła rewolucja społeczna w kierunku wykorzenia pienactwa w narodzie? Oświata powszechna — owszem, podnoszenie ogólnej kultury — owszem. Ale — jednocześnie instytucja skarg i zażaleń, instytucja poczta z ducha sprawiedliwości i demokracji, bywała nierzadko nie tylko narzędziem tej sprawiedliwości, lecz także przybytkiem pienactwa. Spory o kolek w płocie, o kamień w miedzy czy nie naprawione schody — trafiały do kancelarii Rady Państwa, nie mówiąc o niższych szczeblach władzy, o komitetach partyjnych i redakcjach gazet i czasopism.

Powiedzenia w rodzaju: „napiszę do komitetu, pójdę do redakcji”, miały charakter pogroźki, szantażu. A referaty skarg i zażaleń tonęły w powodzi listów.

Dziś sporo spraw na tym polu zostało uporządkowanych, sporo się zmieniło w instytucjach skarg i zażaleń, ludzie pracujący tutaj mogą działać coraz skuteczniej. Ale wciąż jeszcze nielato jest wśród masy napływających skarg, próśb o pomoc i obronę — roznać się bezbiednie, wytuskać krzywdy rzeczywiste, a nie urojone, sprawy wymagające rzeczywistej interwencji. Bo przecież mimo pieniackich skłonności, obserwowanych w niektórych warstwach społecznych — każde subiektywne poczucie krzywdy zasługuje na baczną uwagę.

Ustrój nasz ogranicza do minimum możliwość bezkarnego krzywdzenia jednych przez drugich, ustawodawstwo chroni obywatela. Ale żadne kodeksy nie zlikwidują doszczętnie konfliktów i krzywd, zwłaszcza krzywd moralnych, mających miejsce najczęściej w najniższych komórkach społecznej organizacji, w nieudalonych rodzinach, w mieszkach wspólnego zamieszkania, w małych grupach zawodowych. Tu idzie o spadek, tam o prawo do łazienki, ówde o kilkadziesiąt złotych premii. Małe, nieporadne sprawy urastają z czasem do wielkich życiowych nieszczęść. Konieczna bywa interwencja „Interwent”, czy to będzie pracownik administracji, przedstawiciel redakcji czy wreszcie czynnik społeczny, pomoże rozwiązać pojedynczy konflikt, często kosztem wielu wysiłków, zabiegów, żmudnego „śledztwa”, perswazji. Ale rozwiązując indywi-

dualny przypadek, nie zapobiega następstwu.

Spółeczność ludzka jest organizmem bardzo skomplikowanym. Żaden ustrój, żadna doktryna społeczna sama przez się nie zapobiegają konfliktom pomiędzy jednostkami, konfliktom rodzajem nie tylko groteskowe wojny o łaskę, ale także poczucie głębokiej krzywdy, rzeczywiste ludzkie nieszczęścia. I nawet żaden dobrobyt, żadna wysoka stopa życia nie stanowią się zbawieniem, choć warunki materialne nie są tutaj bez znaczenia. W parze z przebudową stosunków społecznych i likwidacją niedostatku jako źródła konfliktów — musi iść wysiłek wychowawczy. Nie twierdzą bynajmniej, że owa pedagogika społeczna u nas nie istnieje. Ale ośmielę się sądzić, że publicystyka (by nie mówić już o literaturze) mogłaby tu robić o wiele więcej niż robi. „Wielka” publicystyka pasjonuje się wyglądem świata w erze cybernetyki, ta „mniejsza” zajmuje się głównie ekonomią, produkcją. A jednocześnie umykają z pola widzenia zagadnienia życia i współżycia na co dzień, kultury bycia, wzajemnego szacunku, życzliwości dla drugich ludzi — cała ta „mała” moralistyka, trudząca się na bieżąco przekształcaniem ludzkiej mentalności i moralności. Szkoda.

A swoją drogą, ciekawe, ile w roku „zdołają” księżycą będzie u nas pyskówek o łaskę.

...
nad i

Lech Konopiński i Maja Berezowska

W tych dniach ukaże się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego tom fraszek Lecha Konopińskiego zatytułowany „Amoreski” z okładką i ilustracjami Maji Berezowskiej. Wysoki nakład (14 tysięcy!) wskazuje, że wydawca spodziewa się dużego popytu na tę uroczą książkę. I słusznie. Autor fraszek — znany poznański satyryk (piszący ongiś w „Kaktusie”, a obecnie w „Szpilkach”), dziennikarz i filatelista w jednej osobie, a przy tym młody, przystojny mężczyzna (ale już wzorowy mąż i troskliwy ojciec) — zebrał w tomie dużo utworów nowych, dotychczas nie publikowanych. Lekkość, finezja, dowcip i tematyka obracająca się wokół amarów — o to cechy charakterystyczne utworów tomiku. Ilustracje Maji Berezowskiej nie wymagają komentarza. Słowem — „Amoreski” pójdą jak woda.

A o kilka próbek z omawianego tomiku:

WALKA Z SZATANEM

Odejdź, szatanie!
Ja wolę panie.

ZAWIEDZIONEJ

Ze odszedł — nie martw się wcale.
On zawsze umiał się znaleźć.

PULAPKA

Bezradnie rozkładła ramiona.
Oby tak wypadła w nie — ona!

MAGIK

Gdy się znajdzie przy dziewczynie,
W jej objęciach zaraz ginie.

POCIESZENIE

Przegrałem robra, lecz się nie martwię.
Przecież zrobiłem z nią dobrą partię!

SPACERY Z ALPINISTKĄ

Na wszystkich z nią już byłem szczytach
I tylko ona — niezdołaby.

MŁOTEM I PIÓREM

Dokończenie ze str. 1

nej sytuacji politycznej. I o dziwo, atmosfera walki, którą przepojona była akcja przygotowania do Referendum, zaczęła na nowo wciągać młodzież w orbitę naszej pracy. Co miesiąc przybywało nowych członków. W lipcu 1946 roku na zlot do Warszawy jechała 2,5-tysięczna reprezentacja Związku Walki Młodych — masowej organizacji młodzieży wielkopolskiej.

Na Zlot nie jechaliśmy z próżnymi rekoma. Wieźliśmy dorobek półtorarocznej pracy. Jej formalnym pokwitowaniem była rezolucja Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu opublikowana w ówczesnej „Woli Ludu” z dnia 21 lipca 1946 r. Cytuję:

„W obliczu I Krajowego Zlotu ZWM, który odbędzie się w dniach 21 i 22 VII 1946 roku w Warszawie — Wojewódzka Rada Narodowa w Poznaniu, na posiedzeniu odbytym w dniu 19 VII 1946 r. po-

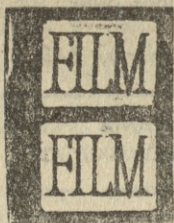
stanawia: wyrazić uznanie dla zasług Związku Walki Młodych i całej młodzieży wielkopolskiej oraz jej demokratycznych organizacji — na polu wyzwolenia i zagospodarowania Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej, wyrazić uznanie dla jej udziału w akcjach siewnych i żniwnych, walce o wydajność pracy w przemyśle, w akcji osadnictwa na Ziemiach Zachodnich, w szczerze demokratycznym i patriotycznym wychowaniu młodego pokolenia, w rozwoju sportu i wychowania fizycznego, w rzetelnej pracy młotem i piórem dla odrodzonej ojczyzny”.

Zlot był niezapomnianym przeżyciem dla jego uczestników. W mieście namotów, jakie powstało na Polu Mokotowskim w Warszawie, zgromadziło się około 40 tysięcy młodzieży. 30 tysięcy ZWM-owców i 10 tysięcy delegatów OMTUR-u, harcerstwa, Wici i ZMD. W potężnej manifestacji, jaka odbyła się na polu zlotowym, młodzież zadeklarowała swą wolę walki i pracy dla budownictwa nowej, demokratycznej Polski. W umęczonej, pokrytej ranami ruin Warszawie, zakwitło barwną defiladą — pokolenie jej budowniczych. Dziś na miejscu miasteczka zlotowego stoją nowe bloki, domy mieszkalne, przedszkola i szkoły. Widzieliśmy je wtedy w naszych marzeniach.

ZOFIA MOSIĘŻNA-ANDRZEJEWSKA

Janusz Biniek

Czy warto być gangsterem?



Przypadek, nie przypadek — faktem jest, że ten rok, gdy chodzi o polskie filmy, rozpoczął się niezwykle pomyślnie. Bo oto po znakomitym filmie Hasy „Jak być kochanym” jesteśmy świadkami nowej premiery, a mianowicie naprawdę dobrej (trzymajcie się krzesła!) komedii filmowej. Nie wierzyście? Rozumiem — komedia filmowa w polskim wydaniu budzi raczej dość ponure wspomnienia. Tym miłsza więc niespodzianka, jaka zgotowali nam Jerzy Hoffman i Edward Skórzewski w postaci „Gangsterów i filantropów”.

Film składa się właściwie z dwu oddzielnych historii. Pierwsza z nich — to powieść o bandzie gangsterów, którzy przy pomocy nowoczesnych metod organizują napad na transport pieniędzy, przewożonych do banku. Bandzie przewodzi wytworny szef-intelektualista (Holoubek, wprost wymarzony w tej roli). A więc — makieta trasy, próby ze stoperem, kapitalnie przemyślane alibi, itp. itd. Napad udaje się, ale gangsterzy w końcu jednak wpadają. Dzieją się bowiem u nas cuda, których nawet genialny szef nie potrafi przewidzieć, jak np. zniknięcie opon z kół samochodu, pozostawionego na parking, oczywiście — strzeżonym...

Bohaterem historii nr 2 jest życiowy fajtlapa, laborant, który zamówioną w restauracji setkę czystej miesza jak herbatę, i to przez

rozłargnięcie... alkoholomierzem. Przekonując się, że ta przypadkowa rola inspektora PIH-u zaczyna mu przynosić niespodziewane dochody, bohater nasz robi prawdziwą karierę finansową, sięając popłoch wśród kierowników restauracji i nocnych lokali.

Mamy więc do czynienia z gatunkiem, który zawsze cieszy się dużym wzięciem, mianowicie z komedią kryminalną. Oczywiście — historia gangsterów przypomina styl „Szajki z Lawendowego Wzgórza” czy innych kryminalnych komedii angielskich, ale całość aż kipi od naszych współczesnych realiów. Znamy to wszystko, znamy — chciałoby się powiedzieć; to samo jednak, co drażni i irytuje w codziennym życiu, tutaj, oglądane na ekranie w groteskowym wyolbrzymieniu, budzi żywiołowy śmiech. Mechanika działania jest stosunkowo prosta, choć jednocześnie niezmiernie trudna: polega na wyciągnięciu z realnych, życiowych sytuacji — konsekwencji krańcowych, na doprowadzeniu ich do tej granicy, gdzie realność wydarzeń przeobraża się już w groteskę, w absurd. Na takiej zresztą samej zasadzie zbudowany jest każdy dobry dowcip.

Oczywiście — komedia tego typu wymaga od realizatorów zarówno świetnej znajomości życia, jak też piekielnie żelaznej logiki. Brak tej logiki był właśnie przyczyną nr 1 kolejnych klęsk, jakie odnosiliśmy na śliskim polu komedii filmowej. W „Gangsterach i filantropach” nie dzieje się bez przyczyny i skutku, nie ma ani jednej zbitecznej

sceny. Film imponuje zwartością i tempem, dowcip goni dowcip, każdy pomysł jest doprowadzany do końca. A więc satyra współczesna, i to bynajmniej nie marginesowa, ale jednocześnie satyra bardzo zabawna. Dodatkową pointę całości stanowi konfrontacja obu historii (ich bohaterów spotykamy w karetce więziennej, przewożonych na rozprawę do sądu): gangsterzy wędrują do paki, fałszywy inspektor PIH-u zostaje uwięziony. Wprawdzie „dobije” go... Wydział Finansowy, ale panem sytuacji — i właściwym „bohaterem” — są anomalia naszego życia, „dziki” którym trudno być u nas klasycznym gangsterem, a jednocześnie tak łatwo zerować na naiwności tych, którzy sami nie mają czystych rąk...

Twórcy filmu, Hoffman i Skórzewski pracowali dotychczas w filmie dokumentalnym: „Gangsterzy i filantropi” są ich debiutem na polu fabuły. Debiutem bardzo udanym, wykazującym świetne opanowanie realizatorskiego rzemiosła, klasowy i pełen dynamiki montaż, umiejętność obsadzenia ról. W filmie nie ma ani jednej „puszczonej” postaci; typy są znakomicie dobrane, niezwykle malownicze, a również od strony aktorskiej bardzo wyrównane.

W sumie — chyba najlepsza (obok filmu „Ewa chce spać”) polska komedia filmowa powojennej produkcji. Naprawdę warto ją zobaczyć — dwie godziny dobrej zabawy mrowiane.

Dobrze zaczął się ten rok. Męczy mnie tylko pytanie: przypadek to, czy nie?

Muzea biograficzno-literackie

10 istniejących w kraju muzeów biograficzno-literackich (jedno z nich ma charakter prywatny) powstało w większości po wojnie. Oto one: Muzeum Mickiewicza w Warszawie poświęcone również Słowackiemu oraz całokształtowi historii naszego piśmiennictwa, muzeum Sienkiewicza w Oblegorku koło Kielec, muzeum M. Konopnickiej w Żarnowcu. Jedno z najstarszych w Polsce odzrodziło — Naleczów posiada muzeum poświęcone Żeromskiemu i Prusowi. Pamiętamy po Janie Kasprzycu zgromadzone w dwóch miejscowościach ściśle z nim związa-

nych: w Inowrocławiu i na Harendzie w Zakopanem.

W renesansowym dworze w Czarnolesiu (woj. kielecki), powstało muzeum ku czci Jana Kochanowskiego. Muzeum Romantyzmu, związane z twórcą „Nieboskiej komedii” i „Trydona” — Zygmuntem Kraszkowskim, znalazło się w pałacu Kraszkowskich w Opinogórze koło Ciechanowa. W 150 rocznicę urodzin J. I. Kraszkowskiego — w dworku Kraszkowskich w Rómanowie (woj. lubelski) otwarto muzeum imienia pisarza. W Gorzeniu Górnym (woj. krakowski) rodzina Emilia Zagajewicza utrzymuje dwa pokoje w takim stanie, jak wyglą-

dały za życia pisarza. W r. 1957 odnowiono tzw. Rydlówkę — dom, gdzie tworzył Kazimierz Przerwa-Tetmajer i Lucjan Rydel.

Nowe placówki tego typu zostaną utworzone w Ciekotach, pow. Kielce, gdzie spędzał dzieciństwo Żeromski, w Pinczowie — muzeum Adolfa Dygaszkiego, w Warszawie muzeum Andrzeja Struga oraz w leśniczówce Pranie (woj. olsztyński) — Muzeum K. I. Gałczyńskiego. Ponadto — w polowie br. otwarte będzie w Warszawie muzeum Władysława Broniewskiego.

Poza granicami naszego kraju istnieją muzea Kraszkowskiego w Dreźnie oraz Mickiewicza w Istambule. Nad obydwojma sprawuje pieczę Muzeum Mickiewicza w Warszawie.

Wspólny mianownik zmian

Dokończenie ze str. 1

rzeczy... Ale niech mi pan wierzy: mój ojciec na pewno nie był hitlerowcem. Nie mógł być. Był na pewno porządnym człowiekiem, którego przemocą zapędzono do wojska i posłano na front wschodni. Nigdy nie uwierzę, aby mój ojciec mógł brać udział w tych zbrodniach...

✱

Jeszcze raz „Kariera Arturo Ui” w wykonaniu brechłowskiego Berliner Ensemble. Tylko, że tym razem oglądano nie na gościnnych deskach Opery Poznańskiej, lecz właśnie w macierzystym teatrze Am Schiffbauerdamm. Bodaj już sto osiemdziesiąte szóste z kolei przedstawienie, przy wypełnionej po brzegi widowni. I to widowni śmiejącej się chwilami do rozpuku, oburzającej taką właśnie reakcją zagubionego wśród rozbawionych berlińczyków z ich powodu coraz bardziej ponuro siedzącego obcokrajowca. Są chwile, kiedy mam ochotę krzyknąć im gogolowskie „Z kogo się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!” Wracam do hotelu skwaśniały jak ocel siedmiu złodziei.

Kiedy jednak następnego dnia relacjonuję swoje wrażenia z teatralnego wieczoru Siegfriedowi, ten w odpowiedzi podaje mi tylko łom dzieł Brechta z uwagami do „Arturo Ui”.

„Słyszysz się dziś po prostu — pisał Brecht około roku 1948 — że byłoby karygodnym i zbrodniczym wydawanie wielkich przestępców politycznych, żywych lub martwych, na pasiwą śmierć. Słyszysz się, że nawet prości ludzie byliby tym dotknięci i to nie tylko dlatego że uwikłani zostali w przestępstwa, ale i z tego względu, że ci, którzy ocalili jeszcze w ruinach, nie mogliby się śmiać z tych rzeczy. Nie powinno się więc ponoc wywazać otwartych drzwi, w które i tak w zbyt wielkiej ilości obfitują ruiny. Jeśli bowiem wyciągnięto już nauki, po cóż dręczyć nieszczęśliwych? Jeśli zaś nauka poszła w las, byłoby ponoc niebezpiecznym

wymagać od ludu śmiechu z władcy, by — że tak powiem — przestał traktować go na serio. Itd., itd.

Wielcy zbrodniarze polityczni muszą być jednak zdeironizowani. I to przede wszystkim w drodze ośmieszania. Choćby z tego względu, że byli oni nie tyle wielkimi przestępcami politycznymi, lecz — co jest przecież czymś całkiem równym — sprawcami wielkich przestępstw politycznych (...). O ile też fiasco poczynił Hitlera nie czyni go jeszcze w najmniejszym stopniu durniem, o tyle też w równym stopniu, ogrom jego zbrodni nie czyni go jeszcze wielkim człowiekiem. Zresztą klasy dzierzące władzę w nowoczesnym państwie najczęściej posługują się przy realizowaniu swych celów faktycznymi mierzakami (...). Tacy ludzie zyskują tylko pozory wielkości na skutek rozmiarów swej działalności (...).

I właśnie ten respekt przed sprawcami trzeba zniszczyć (...). Lotrzyk nie może tylko dlatego, że pozwolił mu na to jego mocodawcy, stać się wielkim łotrem, ba zając pozycję wielkości nie tylko w dziejach łotrów, ale nawet w naszej ocenie dziejów...

✱

Można powiedzieć, skąd wiesz, że w rozmowach z tobą są całkiem szczerzy. Trzeba jednak powiedzieć: w teatrze są na pewno sobą. Ich reakcja zaś, reakcja widza teatralnego, taka właśnie jakiej życzył sobie Brecht, denerwuje być może nie zorientowanego „o co gra idzie” cudzoziemskiego obserwatora, w gruncie rzeczy jednak świadcząc o rozmiarach zmian, jakie nastąpiły w świadomości przeciętnego obywatela NRD. I dlatego skłonny jestem wierzyć młodym chłopakowi, poznanemu w winiarni. Dlatego nie lekceważyłbym być może naiwnej wiary młodego dziewczyny w niewinność ojca. Ta wiara jest bowiem szczerym pośpiechem przeszłości.

ZBIGNIEW SZUMOWSKI

Z KRÓLESTWA POLSKIEGO DONOSZA...

„Dziennik Poznański” o powstaniu 1863 r.

Od pierwszych dni Powstania Styczniowego prasa ukazująca się w Poznaniu bardzo żywo reagowała na każdą wiadomość z Królestwa Polskiego. Łamy „Dziennika Poznańskiego” wypełniały — w połowie wiadomości z pola walki powstańczej, artykuły redakcyjne i korespondencje zagraniczne, mówiące o „polskiej rewolucji”. Bardzo wszechstronnie informowano o stosunku państw europejskich do powstania, o związkach pomiędzy polskimi rewolucjonistami a rosyjskim ruchem demokratycznym.

Zamieszczamy poniżej niewielki wybór tekstów z „Dziennika Poznańskiego” — rocznik 1863, który obejmuje dni od 28 stycznia do 12 lutego. A oto pierwsze dosłowne doniesienia prasowe:

„Za Ostd. Ztg. z Warszawy wiadomość z 24 stycznia. (...) Główne punkta, w których powstanie najmocniej się organizuje, są okolice fabryczne, których liczna ludność robotczy dała główny kontyngens tego wojska rewolucyjnego (...). Jak ci robotnicy w tych okolicach, tak w innych wolni włościanie tworzą rdzeń spisku, ponieważ ci nie są oddani rządowi, jak włościanie pańszczyźniani (...). Komitet rewolucyjny zamienił się na rząd tymczasowy i jako taki wydał proklamację. Grunty będące teraz w posiadaniu włościan, ogłosił za ich własność, a obywateli ma za to rząd wynagrodzić.” (Dz. P. z 28. I. 1863 r.)

Powstanie w Kongresówce wywołało poważne zaniepokojenie w Prusach.

„Berlin 27. I. Wypadki w Królestwie dość żywe sprawiły wrażenie w tutejszych kołach rządowych, które już widzą podnoszącą się zewsząd hydrę rewolucji.” (Dz. P. 29. I.)

„Wrocław 26 stycznia. Wskutek wypadków w Królestwie z Wrocławia wysłać mają wszystkich zandarmów pieszych, z wyjątkiem dwóch, do Górnego Śląska na granice Królestwa, aby wstrzymać przechodzących na granice pruską (...).” (Dz. P. z 29. I.)

Do ścisłej izolacji powstania, skłaniały — jak wynika z doniesień prasy — zaborców rosnące nastroje rewolucyjne także w kręgach postępowej części społeczeństwa rosyjskiego.

„Gazecie Kolońskiej” donoszą stąd, że równocześnie z wypadkami ośmiatni w Królestwie Polskim przyszło do ruchów pomiędzy młodzieżą akademicką w Petersburgu.” (Dz. P. z 31. I.)

Niepokoje wzmagają fakt rozszerzania się ruchu powstańczego na coraz nowe połacie Królestwa.

„Z Łodzi piszą do Breslau Ztg.: że 1 lutego wieczorem oddział około 800 powstańców wszedł do miasta, za-

brał 50.000 rubli pieniędzy rządowych, a ponieważ wszyscy urzędnicy wynieśli się z miasta, ustanowił rząd tymczasowy dla utrzymania porządku.” (Dz. P. z 5. II.)

„Wedle korespondencji do Br. Ztg. z 4 lutego oddziały pod Langiewiczem mają wynosić do 15.000; cała okolica od Sandomierza na Wąchock aż pod Radom w rękach powstańców, którzy administrację cywilną spokojnie dalej prowadzą w imieniu rządu narodowego. W Suchedniowie, gdzie są fabryki żelaza, mają odlewać armaty z dzwonów. Karność u Langiewicza wzorowa.” (Dz. P. z 8. II.)

„Do Nał. Ztg. piszą z Warszawy 3 lutego, iż Opoczno (5 mil na wschód od Piotrkowa) miał zająć oddział 2500 powstańców, między innymi 500 jeźdźców pod Legockim, towarzysząc broni Garibaldiemu. Władze miejskie go przyjmowały i mnóstwo chłopów miało się przyłączyć (...).” (Dz. P. z 8. II.)

Być może dlatego...

„potwierdza się wiadomość, iż rząd rosyjski w Warszawie chociaż miał 115.000 do 120.000 żołnierzy w Kongresówce, wezwał o nadesłanie posiłków z Rosji i korpus grenadierski ruszono z leż zimowych z pod Nowogrodu w pochód do Kongresówki.” (Dz. P. z 7. II.)

A jak zareagowały na powstanie kraje Europy zachodniej?

„Francuskie dzienniki z ostatnich dni stycznia, tj. z pierwszych dni po nadejściu do Paryża wiadomości o wypadkach warszawskich, mówią o nich wszystkie ze współczuciem ale bez nadziei (...). Najpochlebniej i najenergiczniej stosunkowo przemawia „Opinion Nationale” (organ księcia Napoleona i awansowanego liberalizmu). W numerze swoim z dnia 28 stycznia powiada on, że chociażby powstanie polskie (bo dziennik ten uważa obecny ruch powstańczy za powstanie „powszechne”), nie miało być pomysłem uwieńczone skutkiem, rozlegnie się ono w Europie jako krzyk rozpaczliwych gniewionych żelaznym jarzmem, jako protestacja przeciwko strasznej zbrodni, która czeka odkupienia.” (Dz. P. z 5. II.)

„Francuski minister Billaut, odpowiadając na interpelację p. Juliusza Favre w sprawie Polskiej, wypowiedział się niedwuznacznie, że Francja, prócz jałowego wyrazu sympatii nic zresztą dla Polski krwią zbroczonej zrobić nie może.” (Dz. P. z 10. II.)

„Gazeta del Popolo zawiera artykuł o powstaniu w Polsce pod berłem rosyjskim, w którym oświadcza, iż ten zakres powstania jest krwawym wyrzutem dla Europy i cywilizacji naszego czasu.” Wypadki w Polsce — píše urzędowy organ rządu włoskiego — są tego rodzaju, że najmocniejsze muszą nastroić obawy (...). Ale nie zapomniamy, że patriotcy polscy w samej Rosji mają wielu przyjaciół i zwolenników, tak iż nie należałoby się dziwić, gdyby ruch się rozszerzył od Wisły do Newy. (Dz. P. z 8. II.)

„Londyński „Kołokol” (redagowany przez Hercena organ grupy rosyjskich demokratów — (przyp. zm) z dnia 1 lutego, we wstępnym artykule, poświęconym uwagom nad krwawymi w Polsce wypadkami, wręcz wypowiada: „Wielka szkoda, że polskie powstanie tak wcześnie wybuchło. Wielu i my w ich liczbie czyniliśmy wszystko, co według słabych sił naszych było możebnem, ażeby je odwlec” (...).

Poparcie powstania przez postępowych Rosjan znalazło najwidoczniej swoje potwierdzenie w czynach, bowiem Dz. P. informuje:

„W Piotrkowie rozstrzelano dnia 4 bm. oficera rosyjskiego, krewnego, słojącego w Piotrkowie pułkownika rosyjskiego, nadlesniczego, księcia i powiaśnię z bronią w ręku schwytanego.” (Dz. P. z 11. II.)

Obok sukcesów i zwycięstw, wygranych potyczek i bitew — gazeta często donosiła o bezprzykładnym bohaterstwie i klęskach powstańców:

„Warszawa 5 lutego. Kilugodzinna polyczka pod Wągrowem przedwcześnie sroczona, dała dowód Rosjanom o waleczności powstańców. Po zwycięskim odparciu ataku Irszech szwadronów ułanów smoleńskich załoczonego działu, z których przez 3 godziny trwał karłowaty ogień. Powstańcy kilkakrotnie prawie z gołymi rękami szli na baterie. Ostatnie wystrzały armatnie dawano na kilkanaście kroków.” (Dz. P. z 8. II.)

„Warszawa 7 lutego. Dwa znaczne oddziały wojsk rosyjskich składające się z piechoty, strzelców, konnicy i artylerii, wyszły równocześnie z Kiel i Radomia na Wąchock (...). Następnego dnia połączyły się obydwie kolumny Moskali i z dwóch stron uderzyły na Wąchock. Pod sąsiednią wioską Mielicą oddział strzelców powstańczych przez kilka godzin wstrzymywał mężnie ataki dragonów; z których dużo od celnych strzałów zginęło. Uwięzieni chwilowym powodzeniem powstańcy opuścili swe stanowiska w lesie i w wąwozie i wyszli na otwarte pole, gdzie ich morderczym ogniem z dział przyjęło. Kosnierzy po daremnym usiłowaniu zdobycia armat poszli w rozsypek, a za nimi cofnął się cały oddział powstańców w kierunku Opatowa.” (Dz. P. z 11. II.)

Najwidoczniej idee powstania wywarły wpływ także na młodzież Wielkopolski, gdyż o niej (...) tutejsza Ostd. Ztg. pisze:

„Rozeszła się pogłoska, że w Trzemesznie gimnazjaliści oparłszy się w rewolwery, pistolety i inną broń.” (Dz. P. z 11. II.)

Wybrał: Zbigniew Mika

POSZUKIWANIA LISTÓW CZAJKOWSKIEGO

Na prośbę moskiewskiego wydawnictwa muzycznego, „Muzgiz”, podjęto na terenie NRF intensywne poszukiwania listów Piotra Czajkowskiego. Ustalono bowiem, iż spośród 230 znanych zachodnioeuropejskich adresatów listów, pisanych przez wielkiego kompozytora rosyjskiego, ponad 60 pochodziło z Niemiec.

PROFESOR FILUTEK W NRF

Popularny „przekrojowy” profesor Filutek, zaczyna być znany i w Niemczech Zachodnich. Nakładem monachijskiego wydawnictwa, „Buchheim-Verlag”, uka-

Eugeniusz Pauksza Różne dziedziny

Zacniemy dzisiaj od teatraliów. Tutaj zaś od pochwały Wydawnictwa Poznańskiego za inicjatywę i troskę edytorską w przygotowaniu do druku kroniki Michała Misiornego „Teatry Dramatyczne Ziemi Zachodnich 1945—1960”, ze wstępem Wilhelma Szewczyka. Praca ta, to zresztą znacznie więcej niż sumienny zapis kronikarski, to także uchwyciona w porę, żywa historia dziejów teatru polskiego na wyzwolonych ziemiach, teatru początkowo spełniającego tam rolę polonizacyjną i integracyjną, obecnie zaś kształtującego nowe oblicze kulturalne tego złożonego społecznie regionu. Wykazy, skrowidze, zestawienia premier itd., uzupełniają tę ciekawą, z benedyktyńską starannością przygotowaną pracę Misiornego.

Serdecznie chciałbym zalecić każdemu wydaną przez LSW książkę wybitnego krytyka Wojciecha Natanson „Godzina teatru”, gdzie z właściwą sobie erudycją, w lekki sposób autor ukazuje mechanizm teatru. A więc sprawy dramaturgii, sztuki aktorskiej, reżyserii i inscenizacji, scenografii itd. Wszystko w sposób ciekawy i pouczający. PZWS w swoim cyklu opracowań sylwetek twórców, przynosi nam tom opracowany przez Tadeusza Sivera przy współpracy Ewy Heise: „Aleksander Fredro”, gdzie poza szerokim wstępem ukazującym sylwetkę wybitnego komediopisarza, znajdujemy bogaty zestaw materiałów, ocen, recenzji od czasów współczesnych Fredro aż po dzień dzisiejszy. Dobry to materiał poznawczy.

Na pograniczu spraw teatru można by też umieścić tom wspomnień znanego w swoim czasie komediopisarza Mieczysława Fijałkowskiego „Uśmiechy lat minionych” (Wyd. „Śląsk”). Na pograniczu, bo obok spraw teatru porusza tam Fijałkowski i malarstwo i politykę i stosunki społeczne w półwiecznym niemal okresie, gdzie aż po rok 1945. Masa anegdot, humoru, optymizmu

stycznego spojrzenia na życie, niezależnie od jego trudności.

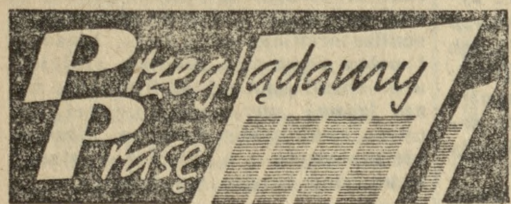
To samo Wydawnictwo „Śląsk” jako swoją 500 pozycję opublikowało wartościową książkę Wilhelma Szewczyka „Literatura niemiecka w XX wieku”, gdzie świetny ten znawca problematyki niemieckiej szeroko analizuje rozwój literatury niemieckiej w XX wieku aż po lata sześćdziesiąte, zastanawiając się głównie nad problematyką ideową problemów estetyczno-literackich. W dalszych częściach Szewczyk omawia pewne wybrane zagadnienia i wybrane warsztaty twórcze, kresząc niebanalne sylwetki takich pisarzy, jak: T. Mann, J. Wassermann, G. Hauptmann i inni. Całość uzupełnia szeroki słownik współczesnych pisarzy niemieckich.

Zbieraczem pozycji okupacyjnych — zgodnie z ich sugestiami — przekazuję wiadomości o poszukiwaniach z tego zakresu. MON opublikował

z książką na

Wiktora Ziemnińskiego „Wrzesień, Ofiar, Wyzwolenie”, jedno z ciekawszych wspomnień pisanych przez wojskowego wyższego stopnia. „Czytelnik” natomiast wznosi, z uzupełnieniami, głosne wspomnienia oświęcimskie doktora Alfreda Fiderkiewicza „Brzeżanka”, ukazujące obóz od strony tzw. Krankenbau. W „Czytelniku” też ukazały się „Kominy”, tom wspomnień oświęcimskich wielu autorów, tom jakoś szczególnie pełnie ukazujący istotę zjawiska zwanego „Kc-lagrem”.

Sporo też znajdujemy na półkach literatury podróżniczo-egzotycznej. Szczególnie pasjonujące są „Wodospady” Basila Davidsona (wydanie „Iskier”), jednego z najlepszych znawców Czarnego Łądu. „Wodospady”, to powieść z niedawnych lat, ukazująca konflikty ideowo-moralne w środowisku białych kolonizatorów. Świetnie napisane. Inny typ reprezentuje „Gniazdo łabędzi” Jarosława Iwaszkiewicza (też „Iskry”), tom naprawdę przeuroczych, mądrych szkiców z Dania, kraju szczególnie bliskiego i świętne znanego wybitnemu pisarstwu. Serdecznie polecam te głębokie impresje, ukazujące Danię lepiej niż opasłe foliasty akademickie. W MON-ie ukazała się praca Bogusława Mroźka „India wczoraj i dziś”, podająca zarys historii nowożytnej Indii, obraz ruchu wyzwolenczego, polityki i gospodarki. Nie ma tu literatury, ale jest świetna, rzeczowa informacja i gruntowna wiedza o tym niełatwym kraju. W „Książce i Wiedzy” natomiast wydano E. Rigasa (czemu brak pełnego imienia autora?) „Grecja naszych czasów”, polityczno-historyczny obraz dziejów Grecji, ze szczególnym uwzględnieniem czasów nam współczesnych.



Eksplozja demograficzna

Przegląd Kulturalny publikuje na swych łamach kolejny artykuł z cyklu „Rozmowy Przeglądu Kulturalnego”. Tym razem tematem dyskusji, w której — prócz dziennikarzy — biorą udział naukowcy różnych dziedzin, są problemy tzw. eksplozji demograficznej, jej konsekwencje i związane z tym zagadnienia polityki populacyjnej. Z zagajenia redaktora naczelnego Gustawa Gofesmana dowiadujemy się, że jest to temat bardzo aktualny, że od stu mniej więcej lat straszy się ludzką groźbą przeludnienia, eksplozji ludnościowej itp. A przecież fakty tych obaw nie potwierdziły, choć nadal straszmy się nawzajem skutkami społecznymi i ekonomicznymi przeludnienia, przepowiadamy, że zabraknie nam żywności, wody, energii a nawet miejsca. Tymczasem tak nie jest. Najważniejsze pytania to: czy naprawdę światu grozi przeludnienie i jak powinna się kształtować polityka populacyjna. Oblicza się, że w 2000 roku liczba mieszkańców Ziemi wynosić będzie 5,5—6 miliardów.

Oto, co mówi jeden z uczestników dyskusji na temat tzw. stabilizacji liczby ludności:

„Jeżeli jednak będzie to stabilizacja samorzutna, może ona okazać się dla ludzkości bolesna. Aby była bezbolesna, musimy stabilizację samorzutną uzupełnić elementami stabilizacji kierowanej, regulowanej, słowem: świadomą polityką populacyjną.”

W związku z tym mogą powstać wątpliwości natury moralnej, etycznej: czy społeczeństwo ma prawo wkraczać w najbardziej intymną sferę życia ludzkiego? Proszę jednak nie zapominać o tym, że rozwojowi cywilizacji zawsze towarzyszą pewne ograniczenia wolności osobistej. Życie społeczne wymaga rezygnacji z wielu swobód. Za wielkie dobrodziejstwa cywilizacji musimy czymś płacić.”

Miejski styl życia

Relację z innej równie interesującej dyskusji znajdujemy na łamach Nowej Kultury. Tematem jest tu urbanizacja czyli miejski styl życia. Dyskustanci kontynuują niejako problemy poruszone we wrześniu 1962 r. na warszawskim seminarium poświęconym polityce i planowaniu urbanizacji, a zorganizowanym przez Europejską Komisję Gospodarczą ONZ i Biuro do Spraw Społecznych w Genewie przy współudziale władz polskich. Na seminarium szukano dróg do stworzenia właściwego środowiska dla egzystencji człowieka w okresie burzliwego rozwoju gospodarczego, technicznego i społecznego.

W dyskusji zorganizowanej przez Nową Kulturę i redakcję Stolicy wziął też udział socjolog z Uniwersytetu im. A. Mickiewicza doc. dr Janusz Ziółkowski. Powiedział on m. in.:

„Mierzenie urbanizacji kryteriami demograficznymi jest bardzo zawodne. Powiedzieć, że ludność miejska Polski zwiększyła się z 27,2 proc. br. 1931 do 48,1 proc. w roku 1960, nie wystarczy. Ważnym jest zagadnienie, czy ludzie, którzy dostają się w mury miejskie są już zurbanizowani z punktu widzenia społecznego, a jeżeli nie, czy przyswajają sobie dostatecznie szybko miejski sposób życia, miejskie wartości i ideały.”

Brak miejsca nie pozwala zrelacjonować całej dyskusji, zajmującej dwie kolumny druku. Ważne jest jednak to, że naukowcy myślą o urbanistycz-

nej wizji przyszłego miasta a jeszcze ważniejsze, że wizja ta może być zrealizowana.

24 godziny wokół węgla

Andrzej Krzysztof Wróblewski w raporcie pt. Fundamenty z piasku, zamieszczonym na łamach Polityki opisuje trudności i kłopoty spowodowane aurą. Raport nie traktuje o samym węglu lecz o piasku, bez którego kopalnie nie mogą się obejść. Autor pokazuje postawę ludzi w tych trudnych godzinach próby:

„To była historyczna noc z wtorku na środę 16 stycznia. Zima (...) uderzyła drugi raz. Centralna Piaskownia (...) była sparaliżowana: nie działała nie”.

Wreszcie zmobilizowano ludzi, ubrano ich w zimowe odzienie i Piaskownia ruszyła. Niesiety:

„Panie Kokoszka, żeby i ten awaryjny... przestrasza dyspozytor, ale głos niknie, lampka kontrolna gaśnie, koparka staje i staje ten wyczekiwany awaryjny (elektrowóz). Wysiadtło napięcie. Wysiadtła jedna z turbin w Tursowie, kraj pociągnął ze Śląska, zabrakło. Kierownik Mika dzwonił wprost do dyspozytora ministerstwa. — „Interwenujcie w Jaworznie, n/e ma prądu!” Bez prądu nie ma piasku, bez piasku nie ma węgla, bez węgla nie będzie prądu...”

Oto jeszcze jeden przyczynek do rejestru kłopotów spowodowanych legoroczną zimą.

Ostateczne Biuro Skarg

Instytucja ta mieści się w Warszawie. Nazwa — symboliczna. Do Biura — jak się dowiadujemy z art. Małgorzaty Szejnert pt. Medal z twarzą urzędnika w Tygodniku Demokratycznym — wpływa rocznie około 30 tys. skarg od ludzi, którzy uważają się za pokrzywdzonych przez władze gromadzkie, powiatowe, wojewódzkie lub ministe-

rialne. Czasami wpływają sprawy, które powinny rozpatrywać Gromadzka Rada Narodowa lub powiat. Ludzie wierzą w olśniewający rezultat swoich interwencji. Czasami nie myślą się, bo mają rację. Często jednak trafiają tu sprawy będące nieporozumieniem. Niektóre instancje terenowe, choć jest duża poprawa, nadal traktują pełenol niewłaściwie. Np. Prezydium MRN w Słupsku odpowiadając Ostatecznemu Biuru, pisze: „Reasumując całość skargi uważamy, że pełenol naruszył przysługujące obywatelom prawa składania rzetelnych i realnych skarg...” W dodatku pełenol miał rację. Terminy też pozostawiają wiele do życzenia. Oto przykład w sprawie między obywatelami dzielnicy Jeżyce a Prezydium RN m. Poznania:

„Od roku 1960 trwa kwiecista korespondencja na temat rozebrania pewnego sanitarnego domeczku, przybudowanego bezprawnie do cudzej ściany. W korespondencji (ze strony Urzędu) znajdziemy archywalny styl: „przedmiotowy budynek”, „zakres działania tegoż wydziału w przedmiotowej sprawie”. Łata mijają, akta rosną, a „wyż wzmiankowany” domeczek stoi jak stał”.

Inny przykład:

„Dyrekcja pewnej huty zwolniła na krótko przed emeryturą bez żadnego uzasadnienia pewną pracownicę fizyczną. Pracownica napisała do Ostatecznego Biura i do Zjednoczenia Przemysłu Szklarskiego w Sosnowcu. Zjednoczenie zareagowało natychmiast. Zbadano sprawę i zagrożono dyrektora huty, że jeśli nie naprawi krzywdy, sam straci posadę. Nim podjęto interwencję wszystko było już pomyślnie załatwione”.

O ile mniej spraw trafiałoby do Ostatecznego Biura gdyby wszystko tak załatwiano, gdyby przestrzegano przepisów zawartych w Kodeksie Postępowania Administracyjnego!

LEKTOR